Rok 1894. We Lwowie, Poniedziałek dnia 24 Grudnia Nr. 52

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO"

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

U żłobka.

Ot — betleemska w polu stajenka,
Ubogi żłobek, co mieści Pana,
A przy Dziecinie święta Panienka
I siwy Józef padł na kolana.

Słowo przedwieczne stało się ciałem,
Bóg, Odkupiciel, co ziemię zbawi,
Dziś ubożuchnem Dzieciątkiem małem,
Prostaczkom przyjście Swe wprzód objawi.

I jasnej gwieździe zapłonąć każe,
Aby doń mędrców Wschodu przywiodła:
Kornie schyleni, złożą mu w darze
Władzy, kapłaństwa i męki godła.

Świat już rozbrzmiewa wieścią o cudzie —
Anielskich chórów pieśni w dal płyną...
Cześć Jezusowi oddajcie ludzie!
On do was zstąpił z „dobrą nowiną."

Pójdźcie do żłobka wy, uznojeni,
Którzy błądzicie w zwątpienia mroku,
Dla was ożywczych dość tu promieni
Lśni w litościwem Dzieciątka oku.

Pójdźcie bezsilni, zaczerpnąć mocy,
Grzeszni i nędzni, mędrcy i prości,
Korzcie się Panu! Tej świętej nocy,
Niech was ogarnie płomień miłości.

Bądźcie, jak jedna bratnia drużyna
Oddawna Panu w wierze i skrusze —
A miłosierna Boża dziecina
Swoim „pokojem" natchnie wam dusze.

MLA.

Spokój ludziom dobrej woli.

Proza życiowa nie przebiera, pyłem swym obsypuje ona nawet promienne kwiaty miłości. Bo czyż to nie proza „zrobić bliższą znajomość" w mleczarni? Ale dziwić to nie powinno w naszych czasach; trudno nawet, by prywatna nauczycielka, jak Anna Tadecka i młody urzednik rachunkowy jak p. Władysław Murek zaznajomili się z sobą wśród wykwintnej atmosfery salonów.

Anna, sama o własnych siłach krocząca po świecie, musiała z konieczności pozbyć się pewnych finezyj, przed któremi korzą swe czoła kobiety „dobrego tonu".

To nam wyjaśnia obiady w mleczarni: pod „jagnięciem"; kosztowały one Annę taniej i mniej sprawiały ambarasu, niż stołowanie się u rodziny. Przychodziła codzień „punkt" dwunasta, siadała tuż przed ladą poczciwej Saganiewiczowej i spożywszy skromny posiłek, wybiegała czem prędzej, zanim tłumnie schodzić się poczęło grono biesiadników mleczarni.

Pięknością nie była, ale młodość mimo tr sk i ciężkiej walki o byt dawała dużo powabu jej jasnemu czołu, uwieńczonemu grzywką; jej oczom roztropnie spozierającym przed siebie jej różowym ustom.

Zajadała raz właśnie dymiący jeszcze rosół, gdy ją zobaczył Murek. Całkiem obcą mu nie była; udzielała nauki fortepianu dzieciom jego dalekich krewnych, pp. Jaszczyńskich i tam ją widział na ostatnich imieninach pani domu.

Czy to dziwne, że młody człowiek, ukłonił się, a nazajutrz wyskoczywszy z biura na obiad jeszcze wcześniej zasiadł przy stoliku, przy którym ją zastał dnia poprzedniego, Zwolna doszło do tego, że spożywali obiad razem, okraszając niewybredną strawę swobodną, wesołą pogawędką.

I tak obiady stały się po pewnym czasie dla nich obojga czemś więcej, nniźli funkcja dla zaspokojenia głodu. Ano i to łatwe do pojęcia; młody mężczyzna i ładna młoda dziewczyna nie mogą bezkarnie jadać nawet obiadu do współki. Oboje poznali się, a w sercach świtać poczęła cicha, niekryjąca się zresztą, bo nieświadoma jeszcze sympatja.

Tak upłynęło dobre pół roku.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, W przeddzień wigilji siedzieli jak codzień przy stoliku przed ladą Saganiewiczowej, życzliwie spoglądającej na młodą parkę, która bądź co bądź jej pracą wykarmiała swe uczucia. Kto wie, gdyby nie pożywne rosoły, nie kotlety na prawdziwem tylko pozłotą i margaryną podlewanem maśle, kto wie, czy poczuliby ku sobie afekt. Bo pomimo obojętnego tonu rozmów Anny z Władysławem i pomimo że sami ani zdawali sobie nawet z tego sprawy, dla pani Saganiewiczowej

nie było już tajemnicą, iż oboje poczuli ku sobie Bożą wolę.

Siedzieli tedy, jak wspomniano, w przeddzień wilji przy zwykłym stoliku. Anna była czegoś w złym humorze. Oczy jej kierowały się ciągle ku oknom przysłoniętym lekką gazą, którą z wewnątrz w prawdzie nie pozwalała widzieć, co się wewnątrz dzieje, jednak nie przeszkadzała z wewnątrz widzieć Bożego świata. A na tym świecie ruszali się ludzie skrzętniej, niż zwykle, ruch przedświąteczny dochodził do zenitu.

— Czemu pani dziś tak smutna? zapytał Murek, odchodząc nagle od przedmiotu.

— Ach, mój Boże odparła dziewczyna, czy to nie naturalne? Jutro wigilja, święty wieczór, chwila radości wspólnej dla innych, smutku i goryczy dla mnie. Chyba z czterema ścianami mego małego pokoju łamać się będę opłatkiem.

Murkowi przebiegła nagle myśl jakaś szalona błyskawicą po głowie.

— A gdybyś pani, począł, miękim rozrzewnionym głosem...

Anna spojrzała nań trwożnie, a twarzyczka jej stanęła cała w ogniu.

— Panie Władysławie, wyszeptała.

W tej chwili postawiła przed niemi pani Saganiewiczowa „huzarską" zalecając, że wyśmienita, warta buzię.

Młodzi prawie nie znali tych delicji. Anna skwapliwiej niż zwykle powstała od stołu. Murek, który powodując się delikatnością, nigdy jej nie towarzyszył, tym razem równocześnie z nauczycielką przywdział płaszcz na siebie.

— Niech pani się nie gniewa, powiedział tak jakoś poczciwie, że biednej dziewczynie aż cieplej zrobiło się na sercu. Niech pani się nie gniewa panno Anno. Ja panią podprowadzę — bodaj kawałeczek.

Miałaż mu zabronić?

Władysław widocznie toczył jakąś walkę z sobą. Gdy szli ulicami romowaich przybrała znowu ten ton obojętny, który najlepiej harmonizuje z gwarem i tłumem.

Szli tak z kwandrans. Wtem Anna zatrzymała się przed jakimś domem.

— Dziękuję panu, rzekła. Pan jesteś bardzo dobry, a ja czuję prawdziwą za to wdzięczność.

— Niechże mnie pani nie zawstydza, odparł zmieszany. Nie umiem się bronić w tej chwili od niezasłużonegó podziękowania. które raczej odemnie wyjśćby powinno

— Dajmy temu pokój, panie Władysławie! rzekła Anna z westchnieniem, i wyciągając rękę dodała:

— Do widzenia.

On rączkę skwapliwie ująwszy wycisnął na rękawiczce długi pocałunek.

— Pani tu mieszka?

N uczycielka zarumieniła się żywo.

— Niech pani nie oburza moja śmiałość, prosił Murek. Pani musi znać przecie, jak dobrze jej życzę... I jeśli ośmieliłem się zapytać... Panno Anno... ja wiem, to nie wypada... ale mnie tak żal pani... że jutro... Więc pani stanowczo jutro... sama... ową wilję spędzisz... Mój Boże, a ja nawet w południe pani nie zobaczę, bo na obiedzie nie będę... Panno Anno, panno Anno. Dlaczego ten świat tak niedobrze jakoś urządzony?

— Dzięki, dzięki, szepnęła wyrywając rączkę, a obrzuciwszy go tkliwem spojrzeniem, jakby pod wpływem walki wewnętrznej, odwróciwszy się nagle, znikła w sieni...

* * *

Nadszedł wieczór wigilijny. Mrok już zapada. Okna błyszczeć poczynają jażącemi światłami -- za chwilę zabrzmią kolendy, zapłoną choinki, zaszemrze szelest łamanych opłatków.

Anna siedzi w swym pokoju, smutna, zadumana, podobna do złamanego kwiatu. Jej myśli biegną w ową przeszłość, kiedy i dla niej aniołek przynosił drzewko, kiedy i dla niej wilija była najuroczystszą chwilą w roku.

A teraz...

Łzy coraz bardziej cisną się jej do oczu. I mimowoli przychodzi dziewczynie na myśl o biedni towarzysz. On taki dobry przeczuciem odgadła, czego nie powiedział wczoraj. Jak to źle na świecie, że tych, którzy sobie sprzyjają oddziela przepaść stosunków, nie dająca się niczem zasypać. Jakby to dobrze było, jaką by to Annie przyniosło ulgę, gdyby złamać mogła opłatek z serdecznym młodzieńcem, gdyby pogawędzić mogli i razem zanucić kolendę. Czyż popełnili by zbrodnię? Ale co komu przyszło z podobnych myśli.

W tem ktoś do drzwi zapukał.

Anna zrywa się nawpół ucieszona, nawpół przerażona. Miałbyż to on być? Ale czy wolno jej go przyjąć? Co by powiedziano o tem?

Trwożnie odsuwa rygiel, drzwi otwierają się i na progu staje -- a co za rozczarowanie — starsza jakaś kobieta, skromnie lecz przyzwoicie ubrana.

— Pani zapewne pomyliła się? pyta nieśmiało Anna.

— Jakto? brzmi odpowiedź. Więc tu nie mieszka panna Tadecka?

— Owszem, ze zdumieniem potwierdza nauczycielka.

Obca wyciąga do niej życzliwie obie ręce.

— Pani mi przebaczy tę śmiałość.. pani mi nie odmówi przecie przychodzę prosić cię z całego serca, dziecię, na wilję do nas!... Jestem matką Władysława Murka.

— Ależ pani dobrodziejko...

— Bądź spokojna, dziecię. Proszę cię u-

silnie, pójdź ze mną. Chyba, że synowi memu nie życzysz dobrze...

Ale dla czego? On przecież tak szlachetny i on pani tak dobrze życzy.

Anna mimowiednie prawie podnosi rękę pani Murkowej do ust.

— O, wy zacni, szepcze, wy dobrzy, jakbyście nie z tego byli świata, czy ja mogę przyjąć tę waszą dobroć? I czem ja się odwdzięczę?

— Cyt, cyt, dziecię, uspokaja ją pani Murkowa. Będziesz miała dość do tego sposobności.

I narzuca płaszcz na nią i bierze dziewczynę pod ramię i wyprowadza ją z sobą do domu.

* * *

Piękna to kolenda, „Spokój ludziom dobrej woli“. W całym blasku jaśnieje ona dopiero wówczas, gdy wzbije się z ust uszczęśliwionych nagle, a jeszcze przed chwilą pełnych goryczy; gdy wzbije się przy blasku spojrzenia radosnego a przed chwilą jeszcze zasępionego cieniem prawie rozpaczy i przy akompaniamencie serca, które tak niedawno jeszcze płynęło po falach życia jak łódź na rozstrzaskanie skazana, a teraz znalazło nagle przystań cichą...

Wigilijne gwiazda patrzyła na troje bardzo szczęśliwych ludzi: na Władysława i Annę, jako narzeczonych, i na matkę Władysława, co przybyła zdaleka, aby spędzić święta z synom, a poznała niespodzianie, tę, którą ukochał potajemnie i nad którą godniejszej nie mógł wybrać.

O, tak! Spokój ludziom dobrej woli!

Karol M.

Z „nowej wiosny.“

(*H. Heine*).

V.

Maj zeszedł nad doliną,
Drzewa i kwiaty kwitną,
Różowe chmurki płyną
Przez nieba toń błękitną.

Słowicze pieśni płaczą,
Na wgórzu tam w gęstwinie —
Białe owieczki skaczą
W zielonej koniczynie.

Chory leżę na łące,
I dzwonek zdala słyszę,
Co do marzeń, tęskniące
Moje serce kołysze. —

XV.

Smukła lilja z jeziora
Patrzy w górę marząca;
Tam wita ją miłościwie,
Blade lice miesiąca.

Ze wstydem chyli główkę
Ku falom lilja biała —
Znów u stóp swych, biednego
Towarzysza ujrzała.

XVIII.

Gdy błękitnemi oczyma
Spoglądniesz na mnie tak mile,
Popadam w słodką zadumę,
Słów zapominam przez chwilę.

Czar twoich błękitnych oczu
W pamięci zawsze mi stoi,
Niebieskich myśli toń morska
Rozlewa się w duszy mojej.

Błądzę między kwiatami,
I kwitnę z nimi wraz,
Idę, marząc jak we śnie
W cudny, wiosenny czas.

Daj mi dłoń ukochana!
Pijany miłością twą,
Padłbym ci do nóg... Wokoło
W ogrodzie ludzie są.

MLA.

Adjutantki Dumourieza.

Z kobiet, które kiedykolwiek oręż nosiły przy boku, najbardziej znanemi w historji wojen francuskich są, oprócz oczywiście Joany d'Arc, dwie siostry Fernig, adjutantki Dumourieza. Historję tych dwóch sióstr spisało pióro Lamartine'a.

W dzień bitwy pod Jemmapes — pisze poeta historyk — jenerał Dumouriez przebiegał fronty swoich oddziałów, otoczony sztabem przybocznym. Nagle w konnej grupie czterech oficerów spostrzegł dwie twarzyczki niewieście. Grupa składała się z kapitana Ferniga, mieszkańca Flandrji francuskiej, i jego syna, porucznika w pułku w Auxerrois, i dwóch jego córek, którym miłość dla ojca i brata kazała zapomnieć o o zajęciach i ubiorze, płci niewieściej właściwych, przywdziać mundur, przypasać szablę do boku i jechać pod grad kul działowych i kartaczów.

Panny Fernig urodziły się w wiosce Mortague, na granicy francuskiej od strony Belgji. W pierwszych dniach wojny, w początkach r. 1792, departamenty pograniczne stanęły pod bronią. Francja była wówczas jednym obozem a departamety pograniczne uważały się za straże przednie. Całe pułki ochotników formowały się bez żadnych rozkazów z Paryża, a za mężami szły żony i dzieci, za braćmi siostry, narzeczone za narzeczonymi. Najskromniejsze najnajpiękniejsze i najwaleczniejsze z tych niewiast były dwie siostry Fernig, Teofila i Felicja.

Stary Fernig, były oficer, żyjący na ustroniu w wiosce Mortagne, był ojcem licznej rodziny. Synowie służyli wojskowo, jeden w armji pirenejskiej, drugi w armji reńskiej. W domu przebywały cztery córki, osierocone przez śmierć matki. Dwie młodsze były jeszcze dziećmi, dwie starsze dorastały. Po rozpoczęciu kroków wojennych stary Fernig zapalił wszystkie umysły w okolicy. Dni i noce schodziły na utarczkach z oddziałami nieprzyjaciół, które wpadały na terytorjum francuskie, aby grabić, palić i mordować. Córki drżały o życie ojca. Postanowiły tedy w największej tajemnicy przywdziać ubranie męskie, wmieszać się do szeregów żołnierzy, którymi dowodził ojciec, aby czuwać nad nim zbliska. Przy pomocy kilku wtajemniczonych wieśniaków rzecz poszła pomyślnie. Siostry przerobiły sobie mundury braci pozostawione w domu, uzbroiły się w broń myśliwską i przez kilkanaście nocy z rzędu oddział, w którego szeregach szły dwie siostry, odpierał z bronią w ręku napaści maruderów austryjackich.

Sekret był zachowany długo. Kapitan Fernig, powróciwszy do domu i opowiadając zgromadzonym u stołu córkom przygody nocy, nie przypuszczał nawet, iż ma obok siebie współuczestniczki wypraw, że tej samej nocy własne córki ratowały mu niejednokrotnie życie i uwalniały z rąk nieprzyjaciół. w chwilach, gdy miał być już brany w niewolę.

Tymczasem jenerał Beurnonville, komendant w Saint Amand, dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie, na jakie są narażeni mieszkańcy departamentu, w którym mieszkał Fernig, wyruszył z oddziałem wojska, aby maruderów austrjackich wypędzić i zapewnić spokój całej prowincji. Na drodze do Mortagne spotkał oddział Ferniga, wracający z nocnej wycieczki; Noc była gorąca, więc ludzie byli cali czarni od dymu i prochu. Jenerał Bernonville zatrzymał oddział, powinszował kapitanowi męstwa i zapragnął odbyć przegląd żołnierzy. Na komendę oddział w dwóch szeregach rozciągnął się wzdłuż drogi. Beurnonville, idąc przed frontem zauważył, iż dwaj ochotnicy kryją się widocznie przed nim, przechodzą bowiem ukradkiem do następnego plutonu, ilekroć jenerał zbliżał się do poprzedniego. Zaciekawiło go to, zapytał więc Ferniga o przyczynę tej nieśmiałości niezwykłej u żołnierzy. Fernig rozgniewany za ten objaw, jak mówił, niekarności, szorstko przywołał go siebie dwóch ochotników, którzy wreszcie ściągając się, wyszli z szeregu. Ubranie męskie, twarze pokryte gęstą warstwą dymu, wystrzelonego w czasie utarczki, wargi zczerniałe od nabojów, rozdzieranych zębami, czyniły panny Fernik niemożliwemi do poznania nawet przez własnego ojca.

— Kto jesteście? — zapytał kapitan groźnie.

W tej chwili Fernig osłupiał. W szeregach żołnierzy dały się słyszeć szepty i śmiechy! Niesubordynacja rosła! Zanim jednak zdążył zwrócić się do śmiejących się, panny Teofila i Felicja klęczały już u nóg ojca, prosząc o przebaczenie, zapłonione całe, zapłakane i zasromane okrutnie. Oczywiście udzielenie przebaczenia, nie było trudnem.

Zawiadomiona przez jenerała Bernonville Konwencja nadesłała dzielnym dziewczętom uzbrojenie honorowe w imieniu ojczyzny. Znajdujemy dwie panny Fernig w bitwie pod Jemmapes w miejscach najniebezpieczniejszych. Jenerał Dumouriez, w czasie, gdy piastował dowództwo armji flandryjskiej, wspomina je co chwila w rozkazach dziennych. Ojciec i synowie otrzymali stopnie oficerskie w sztabie głównym, córki zaś, zawsze pozostające przy boku ojca i braci, nosiły mundury oficerskie i spełniały funkcje adjutantów ordynansowych. Młodsza siostra Felicja, ocaliła życie księciu Chartres, starsza, Teofila, dokonała niezwykłego czynu przez wręczenie wśród huku bomb jenerałowi Ferrand rozkazów głównego dowódcy, zalecających atak na skrzydło prawe nieprzyjaciela.

Tyle Lamartine.

Po wyjściu jenerała Dumorieza za granicę dwie siostry Fernig towarzyszyły mu na wygnanie i mieszkały kolejno wraz ze sztabem jenerała w Amsterdamie, Areda, Brukseli, Haarlemie, Utrechcie i Middelbourgu. Dopiero w roku 1802 rodzina Fernigów powróciła do Francji, gdzie Dyrektorjat kazał odbudować zabudowania w ich majątku rodzinnym, zrujnowane w czasie wojny.

Wśród huku dział, w dymie prochu siostry Fernig nie straciły nic z kobiecości. Starsza, Teofila — pisze Lamartine — była poetką i artystką, jak Wiktorja Colonna. — Umarła w stanie panieńskim w roku 1818-tym w Brukselji.

Młodsza, Felicja, na polu bitwy poznała swego przyszłego męża, oficera belgijskiego, Vanderwalen.

Dwie młodsze siostry nie podzielały tych wojowniczych zapędów: jedna wyszła za mąż za fabrykanta klejnotów w Brukselji druga młodo została małżonką jenerała Guilleminot.

Jak zapewniają współcześni, obie adjutantki Dumourieza odznaczały się niezwykłą pięknością i wdziękiem. Emigranci francuscy zachwycali się ich maleńkiemi, białemi rączkami, które jednak władały szablą siłą niezwykłą. Portret Teofili Fernig znajduje się w Valencienne, w sali posiedzeń Towarzystwa rolniczego. Na obrazie Henryka Scheffera, przedstawiającym bitwę pod Jemmapes (muzeum w Wersalu), znajdziecie panny Fernig bardzo dobrze sportretowane. W dniu bitwy panna Teofila liczyła sobie 17, Felicja 16 lat życia.